

TEKA

czasopismo poświęcone sprawom młodzieży szkół średnich,

wydawane przez

młodzież akademicką.

Wychodzi 1. i 15. każdego miesiąca.

Od niewoli Moskiewskiej, Austryackiej, Pruskiej, Wybaw nas Panie!
Adam Mickiewicz: »Księgi narodu i pielgrzymstwa polskiego«.

Szkoły, a energia życiowa.

Galicja jest krajem biednym i kształcąca się młodzież pochodzi w olbrzymiej większości z pośród klas nie posiadających fortun, mogących stać się podstawą dalszej pracy. Musi więc sama torować sobie w przyszłości drogę bytu. Przygotowanie jej powinno być więc takie, żeby rozwinęło w niej wszystkie te władze i zdolności, które są potrzebne w walce o byt. Kraj nasz znajduje się w tem trudnem położeniu, że nie posiada jeszcze rozwiniętych warsztatów pracy, do których młode pokolenie uchodziłoby mogło jako do gotowego; tutaj musimy je dopiero stwarzać. We Francyi, czy Anglii młodzieniec wchodzący w życie, ma przed sobą obszernie pole gotowych zajęć; nauka, sztuka, literatura, urzędy, przemysł i handel. U nas te ostatnie dwa rodzaje pracy, zatrudniające gdzie indziej najwięcej sił nietylko fizycznych, ale i intelektualnych, są zaledwie w pieluchach. A i z poprzednich, literatura i sztuka stoją na bardzo chwiejnych nogach i z mozołem torować sobie muszą materialną podstawę. Położenie nasze trudniejsze i odmienne, więc też i przygotowanie musi być większe i inne. Jeżeli się zapytamy, który z czynników w tej trudnej walce życiowej jest najpotężniejszy, odpowiedzieć musimy: energia życiowa; jest to wyrażenie zbyt może ogólne, jednak każdemu dobrze zrozumiałe, jest to, inaczej mówiąc, owa niepoohamowana chęć życia z poczuciem swych sił.

Nie opiera się ona na żadnem rozumowaniu, lecz wynikać musi z fizycznych i umysłowych zasobów człowieka, rozum jest

raczej jej narzędziem. Tę siłę złe wychowanie i kształcenie może bardzo osłabić, lub nawet zniszczyć.

Czy siłę tę wychowanie i kształcenie nasze szkolne rozwija i potęguje do stopnia, w jakim nam potrzebna? Ośmielę się powiedzieć, że dzieje się raczej wprost przeciwnie, że wszystko jest skierowane niejako ku temu, aby ją osłabić; szkoły nasze średnie uważane są zawsze jeszcze jako przygotowanie do Uniwersytetów, te zaś jako alembiki uczonych; wszystko więc jest tak urządzone, aby młodzieńca przygotować nie na człowieka, mającego w przyszłości torować sobie samodzielnie drogę życia, lecz na uczonego, pogrążonego w księgach, a mającego zabezpieczony spokojny i dostatni żywot. Tymczasem rzeczywistość krzyczy przeciw takiemu pojęciu zadania szkół. Jeżeli ze 150 uczniów, wstępujących do szkoły średniej, 30 ukończy je z egzaminem dojrzałości, to już szczęśliwy obecnie wynik; a więc około 4/5 młodzieży idzie w świat przed ukończeniem szkoły średniej, wynosząc trochę wiedzy bezwartościowej w czynnym życiu, a z osłabioną energią, bo z poczuciem zwichnięcia się. Jakież życie potem takiego człowieka? a jaka z nich korzyść dla społeczeństwa? dobrzy są chyba do zapychania dziur w biurach. A i z tej drobnej garstki maturzystów, iluż zostaje uczonymi? Wielu z nich nie kończy wcale uniwersytetu, lecz albo wprost idzie w życie czynne, albo po różnych kolejach, walkach z niedostatkiem lub egzaminami „schodzi na psy“, jak się zwykle mówi. Lecz i ci, którzy kończą studia uniwersyteckie, tylko w małej liczbie poświęcają się specjalnie pracy naukowej. Cała masa żyje tylko z nauki, którą posiadała, jako naczyciele, urzędnicy, adwokaci, sędziowie, lekarze itd.; dla tych wiedza specjalna jest tylko warsztatem pracy, środkiem do życia. Gdzież więc znachodzi uzasadnienie dzisiejsze urządzenie, prowadzenie szkół. Że zaś szkoły średnie uważają dzisiaj za przygotowanie do uniwersytetów, świadczy o tem choćby to, że przecież na to dręczą młodzież tyle lat łaciną i greką, aby mogła przejść na studia uniwersyteckie, bo przecież realistę nie tylko na filozofię, ale i na medycynę i prawo jako zwyczajnego studenta nie przyjmą. Jeszcze więcej uderzającym jest to założenie w samym sposobie uczenia. To skierowane jest ku temu, aby wyrobić w uczniu jak największą zdolność abstrakcyjnego myślenia, a to potrzebne jest przecież nie człowiekowi, który ma żyć i walczyć, lecz temu, kto ma badać, uczonemu.

I stąd mamy ludzi, którzy umieją bardzo abstrakcyjnie myśleć i posiadają prawie encyklopedyczną wiedzę, lecz siedzą

kilkanaście nieraz lat na nędznej płacy, są rozgoryczeni do życia, do świata i siebie. Wszak kiedy zbierała się ankieta szkolna, pytano się, jak przygotowany jest gimnazjalista, a jak realista do uniwersytetu, nie zaś do życia.

Zapomina się u nas o jednym wielkim prawie psychicznem, że każdy stopień wykształcenia wymaga odpowiedniej stopy życiowej: dając komuś wysokie wszechstronne wykształcenie, trzeba mieć dla niego albo gotowe dobrze uposażone zajęcia, lub majątek. Położenie głównego nacisku na rozwój abstrakcyjnego myślenia, rozwija je bez wątpienia, lecz dźiać się to musi na niekorzyść innych władz człowieka, przedewszystkiem energii życiowej. Żądać od człowieka, który ma napchaną głowę starożytnością i nowożytnością, wszystkimi literaturami i jej ideałami, aby szedł w życie zdobywać sobie odpowiedni byt, jest rzeczą nielogiczną.

Lecz nietylko błędne założenie zadania szkoły zarzucić tu można; cały system wygląda tak, jakby umyślnie obliczony był na zabicie energii życiowej.

Zaledwo chłopiec zaczyna myśleć, a już pakują w niego zawile konstrukcye gramatyczne i stawiają od niego żądania za trudne na jego wiek i rozwój, pełno wszędzie abstrakcyi, za ciężkich na jego umysł. Każdy nauczyciel wie, że uczniowie nietylko niższych, ale i wyższych klas w przeważnej większości wyuczają się tylko na pamięć. To znaczy, że stawiane im żądania są za wielkie. O tem świadczy owa wielka ilość słabych not i odpadających corocznie uczniów. Wskutek tego też dziś średnio i mało zdolni, których jest zawsze 2/3 klasy, jeżeli nie więcej, muszą nadrabiać nadmiarem pracy, fizycznych i umysłowych wysiłków. A wiek ich jest właśnie czasem rozwijania się kiedy umysł i ciało powinny być najswobodniejsze, najmniej obciążone. Już każdy chodowca koni wie, że źrebięciem robić ciężko nie można, dopóki się zupełnie nie rozwinie. Jaki koń wyrośnie ze źrebca, którego w drugim już roku zaprzęgnięto do pracy!

To też i uczeń, jeżeli przez 8 lat wytrzyma tę nadmierną pracę, staje się umysłowo wycieńczony jak koń fiakerski. I mamy przed sobą to zjawisko, że młodzieniec, który ukończył szkołę średnią, któremu powinien świat się uśmiechać, z którego winno tryskać życie i siła, podobny jest do starca, zmęczony, apatyczny, lub nad wiek przejrzały.

Dość spojrzeć na twarze młodzieży wyższych klas; są to przeważnie twarze stare.

(Dok. n.).

Ł Ż Ÿ.

„Zmiłuj się zmiłuj, o Panie nasz, Boże!
O patrz jak strasznie pieni się i wzdyma,
Jak wielka ziemia, tak ludzkich łez morze;
Wzbiera i z jękiem na niebo się zżyma.
Z warów łez mętne buchają opary
I zbite w jeden groźnych chmur zwał szary,
Tak ćmią, o Panie, Twych niebios przestworze,
Że dla gwiazd Twoich nawet miejsca nie ma“.

Tak z nieba widząc z łez tych chmur ołowie,
Ukląkwszy w żalu u Bożego boku,
Błagają Pana święci aniołowie
O zmiłowanie biednym dzieciom mroku;
I nad ludzkości całej cierpieniami
Płaczą anieli litości perłami;
Co spojrzą serca im przenika mrowie
Od chmur się łzami kłębiących widoku.

A Pan łaskawie wejrzał na lazury,
Wyciągnął rękę przez blasków poręcze,
Zgarnął im z lica łzy i puścił z góry;
I jak gwiazd rzeki, jakby z słońce obręcze,
Płyną i płyną świecąc przez niebiosy
Te ócz anielskich zmiłowania rosy,
I łez człowieczych pełne zgrozy chmury
Łzami aniołów Pan przemienia w tęcze.

Stanisław Barącz



Ksiądz Płozek.

(Dokończenie).

III.

Niedziela. Ks. Płozek ubrany w odświętną, nową sutannę wspina się po schodach wielkiej kamienicy na Nowym Świecie. Przystanął na jednym pięttrze, na drugim, tchu zaczerpnął i chustką otarł pot z czoła... Idzie dalej. Na trzecim — zatrzymuje się przed drzwiami. Odczytuje na emaliowanej tabliczce napis: *Zofia Narwicka*. Przykłada palec do dzwonka... Serce mu drży, waha się, wreszcie pociska. Słysząc, jak się dzwonek odzywa gdzieś wewnątrz mieszkania... Łydki mu drżą i ma ochotę wrócić się, zbiegnąć po schodach na dół, póki czas. Ale oto dolatuje go odgłos kroków z przedpokoju... Chwila i drzwi otwarte.

Służąca, młoda, zgrabna dziewczyna pochyła się do jego ręki.

— Jak się masz, duszko, mówi ksiądz. Czy pani jest w domu?

Dziewczyna kiwa potakująco głową. Wtedy oddaje jej kartę wizytową i prowadzony przez nią wchodzi do salonu.

Ledwie się tam znalazł, otwierają się drzwi przeciwległe, a w nich ukazuje się jasna, dobra twarz Zosina...

Nie — to nie jest Zosia... To jakaś pani czarno ubrana, poważna. W jej włosach wiją się już srebrne nitki, oczy już przygasły, ruchy powolne i żałobnego smutku pełne... Ale tuż za nią stąpa nieśmiało podłotek. To już Zosia, tę ksiądz zna z pensyi.

Pani Narwicka podaje mu rękę, on ją ujmuje ze drżeniem i chwilę stoją tak naprzeciw siebie i w oczy sobie patrzą.

— Stasiu, Stasiu, to ty, naprawdę ty? woła pani Narwicka... A ksiądz Stanisław drży całym i usta jego szepczą, jak w malignie.

— Zosia, Zosia, Zosia...

— Mój Boże, mówi pani Narwicka. Jakże jestem nieskończenie rada, że widzę ciebie, że cię gościem moim raz jeszcze w życiu mieć mogę, dobry, kochany przyjacielu...

A ksiądz Stanisław myśli:

— Moja ty jedyna, najlepsza, ty ukochanie życia mojego, duszo jasna, więc znowu przy tobie, znowu z tobą jestem.

Odpowiada serdecznie, że i on się cieszy niezmiernie, że się już nie spodziewał nigdy jej zobaczyć, nigdy, ale Bóg miłosierny...

Siadają... ona na miękkiej kanapce w rogu saloniku. On na pufie tuż obok — zupełnie tak samo, jak niegdyś w Dębówce, tylko jakże się zmienili...

— Tyle czasu, tyle czasu, wzdycha pani Narwicka. A toż to już oboje starzy jesteście...

I śmieją się ze swej starości i mała Zosia się śmieje i jakieś wesele wstępuje im w dusze odrazu...

Zaczynają rozmawiać o Dębówce.

— A pamiętasz ten szpaler grabowy, gdzieśmy w upały razem siadywali?

— Pamiętam, a czy też stoi tam jeszcze ta lipa przed gankiem, a czy na naszej oficynie jest jeszcze gniazdo bocianie?

— Nie wiem, odpowiada pani Narwicka, bo Zdzisław po śmierci ojca Dębówkę sprzedał i od lat dziesięciu już tam nie byłam.

— A pamiętasz, pyta ksiądz, naszą figurę i ten... ten obraz przez kozaków pocięty?.. Pamiętasz, jak stroiliśmy go w kwiaty?

— A pamiętasz swoje girlandy, a te bzy tureckie i te róże w klombie?

Pamiętam, pamiętasz, pamiętamy i tak bez końca...

Niewysłowiona jakaś rzewność spływa im w dusze i ani się spostrzegają, jak zmrok zapada.

Zosia — w płaskim dużym koszyku, wyłożonym liśćmi winogrodu przynosi owoce, gruszki i rumiane jabłka. Stawia przed nimi na stoliczku. Podaje talerzyki i rogowe noże do obierania...

— Zupełnie tak, jak w Dębówce, szepcze ksiądz.

I znów zaczynają wspominać...

Zdaje się, że im ubyło tych lat dwadzieścia, że czas się cofnął... Tak swobodnie gwarzą, jak niegdyś...

A potem smutek szarej godziny i im się udziela... Zaczynają potrącać o dzieje późniejsze... Życie po nich przeszło, jak huragan. Pani Narwicka łyzy ma w oczach. Ksiądz drżącym głosem na pytania odpowiada, a czasem ręką macha...

— Et, mówi, nie warto...

Służąca wnosi lampę.

Pokój napełnia się blado-różowem światłem.

— Ach, to ten sam *abat-jour*, co w Dębówce, woła ksiądz zdziwiony.

— Nie, to nie ten sam, ale według tamtego wzoru zrobiony — objaśnia pani Narwicka...

Późnym już wieczorem ksiądz Płozek żegna się i wychodzi. Na ulicach światło gazowe zdaje mu się jaśniejsze, niż zwykle. Stąpa tak lekko, jakby nie czuł kamieni pod nogami. W zamyśleniu błąka się po ulicach, nareszcie wraca do domu. Zapala świecę i siada w fotelu. Myśli przez głowę mu lecą, jak ptaki burzą pędzone, godzina mija za godziną, zegar miejski wydzwania północ, a on siedzi, nieruchomy, z oczyma utkwionymi w krucyfiks.

Drżący płomień świecy kładzie jasność na twarz Chrystusową i opromienia ją niezwykłym blaskiem.

Chrystus łagodnie patrzy na swego sługę i zdaje się mówić do niego: „Przyjdź, a znajdziesz ukojenie we mnie. Ja cierpiałem więcej za was. Twoje cierpienie jest niczem, jak wszystko, co z tej ziemi idzie. Przyjdź, a dam ci zupełną ciszę i słodczą serce twoje napełnię“...

I wstaje ksiądz Płozek ze swego siedzenia, podchodzi ku klęcznikowi, zgina kolana i obejmuje drżącymi rękoma stopy Zbawiciela, ustami ich dotyka i zatapia się w gorącej, rzewnej modlitwie...

— Dzięki Ci, szepcze, o Chryste, że mi dałeś jasną chwilę w życiu. Za wszystkie zawody i łzy moje mam już odkupienie i zapłatę sowitą. Dodaj mi, Panie, sił tylko, abym mógł wytrwać w tem szczęściu i grzeszną myślą spokoju sobie nie zatruł, ani tej, którą miłowałem kiedyś całą potęgą młodego serca. Służebnikiem Twoim jestem, Chryste, i chcę nim pozostać. Taka już wola była Twoja i korzę się przed nią — ja, proch i znikomość. Ale pozwól mi pić z czary moich wspomnień młodzięńczych i czystych. Pozwól mi kochać przyjacielskim sercem duszę, która mi była drogą dawniej i nie dopuść szatana, aby to źródło przyjaźni brudnem tchuieniem swoim zamącił, pozwól mi być ojcem przybranym tego dziecięcia, pozwól mi zaopiekować się tym dwojgiem sierót, bo wszak Tyś jest ich Ojciec i opiekun, a ja Twój sługa...

I jakaś wiara wielka napełnia duszę Chrystusowego sługi. Odkąd kapłańską suknię wdział na siebie, nigdy jeszcze nie czuł się tak silnym i pokrzepionym po modlitwie, jak teraz. Dobrze mu na duszy i spokojnie. Raz jeszcze obejmuje stopy, przebite gwoździami, raz jeszcze w pokorze je całuje i odchodzi, pewien, że wytrwa...

IV.

Wiosna...

Przyszedł maj, pełen słońca i ciepła i kwiaty przyniósł z sobą i pachnące zioła.

W przyrodzie całej brzmi jeden wielki hymn upojenia i wesela. Cieszą się ludzie, zwierzęta, rośliny...

Ksiądz Płozek rozpromieniony idzie przez ulicę. W prawej ręce trzyma ogromny bukiet liliowych, perskich bzów, pod pachą dźwiga pudło cukierków. Idzie do pani Narwickiej. Imieninowe prezenty niesie... Dziś 15-go maja, dzień św. Zofii. Pierwszy to raz po tylu latach będzie jej znowu winszował... Serce mu drży ze wzruszenia, ale idzie śmiało, uśmiechnięty. Wchodzi do dobrze znajomego domu. Z zapartym oddechem przebiega schody i gwałtownie dzwoni do drzwi. Otwiera mu mała Zosia i ręce na szyję zarzuca.

— Ksiądz Staś, ksiądz Staś! woła radośnie.

W przedpokoju stoi już pani Narwicka i obie dłonie do gościa wyciąga. Robi mu wyrzuty, że się przez cały tydzień nie pokazał u nich. Już myślały, że chory. Nie godzi się przecież w takim niepokoju dobre przyjaciółki zostawiać. Ksiądz Staś powinien być u nich codziennym gościem, to przecież tak naturalne...

A ksiądz Staś w rozrzewnieniu całuje ręce pani Narwickiej, te dobre, kochane ręce, ściska Zosię i obiecuje solennie, święcie, że od dnia dzisiejszego poczynszy w niczem już ich woli nie uchybi i codzień o 4-ej przychodzić będzie na godzinę rozmowy...

Ale bo też jak mu tam jest dobrze i jak szczęśliwym się czuje, ile razy znajdzie się w otoczeniu tych dwóch serc najlepszych, które z całym oddaniem kocha i którym chciałby nieba przychylić...

Nigdy ks. Płozek nie był taki wesół, nigdy nie miał takiej równowagi umysłu i serca jak od chwili spotkania z panią Narwicką.

— To moja własna rodzina, szepcze czasem w zadumie i dziękuje Bogu za to, że mu ją zesał.

Nie jest już pessimistą, a i wierzy głębiej, niż przedtem. Nawet nie żałuje, że przywdział sutannę.

Tak jak jest, myśli, jest bardzo dobrze.

Zdzisław Dębicki.

Mysł i Słowo.

(Dokończenie)

Jeśli porównamy pismo hieratyczne, a szczególniej demotyczne z pismem hebrajskiem, lub dawnem arabskiem ozdobnem (tak zwanem kufijskiem) znajdujemy wielkie pism tych podobieństwo.

Dawni Egipcyanie tak, jak dzisiejsi Wschodu mieszkańcy, kreślili znaki swe od prawej do lewej ręki, tylko hieroglify ozdobne dawnej epoki (ideograficzne) mogły być równie w jedną jak w drugą stronę kreślone.

Dziś przy bliższem pism tych badaniu, musimy zgodzić się na to zdanie egiptologów, że i nasze pismo łacińskie jest prawnikiem tych do niedawna tajemniczych dla nas hieroglifów, o czem się natychmiast przekonamy:

Kiedy za czasów panowania królów Hiksosów, plemiona semickie z Azyi przybyłe, załazy Egipt, przyjęły one cywilizacją i pismo Egipcyan i oświatę i nad brzegów Nilu przeniosły na wybrzeża Azyi. Tu, jak twierdzi, rozmiłowany w starożytnym Egipcie, francuski archeolog, Maspero*), przekształciły się hierogoliczne znaki na pismo klinowe, który ukształciły ludy Chaldei i Assyryi przyjmując syllabizm za zwykłą regułę.

Przez długie wieki zmieniały się i kształciły owe symboliczne znaki starych Egipcyan, zanim przemyślni Fenicyanie utworzyli na tych wzorach właściwy alfabet złożony z 22 liter, które kształtem swym przypominają aż nadto pismo hieratyczne egipskie.

Od Fenicyan przejęli je Grecy, chociaż ich podania uczą nas, że nietylko Kadmos Fenicyanin, ale także i Grek Palamed, byli sami wynalazcami alfabetu, przyjętego później z małemi zmianami przez lud Etruryi. Wiemy jednak, jak to gorąca wyobraźnia i miłość własna Greków tworzyła baśnie i legendy. Porównajmy tylko alfabet fenicki z hieratycznym, grecki zaś i etruski z fenickim, a przekonamy się, jak powoli przez długie stulecia kształciło się i urabiało pismo nasze, ten skarb cenny roznoszący oświatę.

*) Patrz Maspero : Histoire des peuples de l' Orient str. 39.

Oto są dzieje tego „słowa“ które starożytni tak wysoko cenili, iż przekazali nam je jako początek wszystkiego, co zrodzone ucząc nas :

„Na początku było słowo a było u Boga“... etc. etc... Wszak jak utrzymuje Libelt owo fatum straszne u starożytnych nie było niczem innym tylko słowem nieubłaganem Boga bogów, wyraz fatum pochodzi od słowa: „fari“ (mówić). Dziś słowo, którem zbyt lekko rzucamy i szafujemy, spowszedniało rzec można i straciło wiele z dawnej swej potęgi, znaczenia, nie przestało jednak być najdzielniejszym naszego Ducha czynnikiem.

Zapewne starożytny pisarz egipski, kreśląc mozolnie swój hieroglif n. p. „a“ w kształcie sępa, nie myślał, że pracuje dla przyszłych pokoleń i że po wiekach znak ten tak lekko, łatwo, rzucany będzie, od jednego do drugiego krańca świata.

Tak to każda, choćby najdrobniejsza praca nie ginie marnie w powodzi wieków.

Duch Boży w nas i nad nami górujący, podnosi ją, choćby po wiekach i jak cegielkę drobną dorzuca ją do ogólnej misternej budowy wszechświata.

Anna Neumanowa.

MŁODE PIÓRA

Co dalej?

Na ulicy deszcz i wicher. Taka nasza swojska szaruga. Wiatr hula po pustych ulicach i jakieś dziwne melodye wyśwituje w kominach. Przelatuje po bezładnych placach i stara się wcisnąć wszędzie tam, gdzie jest jeszcze trochę światła i ciepła. Znalazł właśnie szparę w oknie jakiejś suteryny — zatrząsł małemi szybkami, wleciał do izdebki i zachybotał silnie płomykiem małej świecy. To nagłe zakołysanie się płomienia ocknęło chłopca, który siedział podpartszy głowę rękoma i patrzył w ogień.

Dzisiaj dostał dwóję.

Tak jest — nr. 37. katalogu z klasy 7-mej A. dostał na drugi kurs zwykłą dwóję z dwóch przedmiotów. Takie to proste, pospolite. Mnóstwo młodych ludzi dostaje dwóję — no i nic. Miał przecież złe stopnie w półroczu — a teraz dostał dwóję na kurs. Ot — zwyczajna historia.

Kogo to mogło obchodzić? — Nikogo. — Możeby oprócz niego samego obchodziło jego matkę, ale ją już od lat trzech nic na tym świecie nie obchodzi. Od czasu kiedy ją tknął paraliż, o niczem nie wie, niczego nie odczuwa, nikogo nie poznaje. Czasami uśmiecha się bezmyślnie do syna... zresztą nic... a! — obchodziłoby to jeszcze jego ojca, gdyby żył.

Myśli chłopca biegną przeszłość.

Na łożu śmiertelnem widzi swojego ojca. Kona. Ostatnim wysiłkiem bierze syna za rękę wskazuje na bladą i nieprzytomną prawie z bólu matkę i szepce cicho. „Synu — Twój obowiązek“. Potem umarł.

A on zrozumiał słowa swego ojca. Po sparaliżowaniu matki na jego barkach spoczął ciężar utrzymanie matki i siostry. Wziął się do pracy. Dzień cały biegał po lekcjach, a wieczorem do domu brał papiery do przepisywania. Dla niego pozostawał kawał nocy. I jakoś to szło przez trzy lata.

Ale ostatni rok był najgorszym.

Matka zapadła gorzej, trzeba było lekarza i lekarstw. Siostra podrosła. Posyłał do szkoły, kupił książki. Na siebie wziął podwójny ciężar pracy. Pierwszy kurs przeszedł szczęśliwie, ale w drugim zaczęło być źle. Nie miał czasu uczyć się deklamacyi łacińskich i greckich i z obu tych przedmiotów zaczął utykać. Filologa wykładającego u nich te przedmioty zaczęło to drażnić zwłaszcza, że szło mu dobrze w innych przedmiotach. Nie dziwota podczas, gdy szybki jego umysł inne przedmioty pojmował i uczył się na wykładach, suchych reguł i pamięciowych ćwiczeń odrabiać nie mógł z przyczyny nader prostej — nie miał czasu.

A teraz jest — dwója na kurs.

Śmieszna, zwykła dwója.

Co obchodziło to profesorów? Czy pojmowali te walki młodego człowieka, który uginając się pod brzmieniem życia dążył do światła, do wiedzy?!

Systematyczny, sprawiedliwy profesor dodał ilość klas, następnie podzielił przez liczbę pytań, spokojnie napisał 5 i odszedł z poczuciem spełnionego obowiązku. I spełnił swój obo-

wiązek. On niema czasu na wglądanie w duszę chłopców — on musi odrobić swój materyał, którym się ma wykazać, przepytać wszystkich i wyżywić swoją rodzinę.

Bardzo dobry, sumienny urzędnik. Może na konferencji, gdy przyszło do numeru 37. pocziwy ksiądz coś mówił o tem, że utrzymuje rodzinę ale sprawiedliwy pan powiedział, że „sprawiedliwość przedewszystkiem“. Rozumie się, że przeciwko takiemu argumentowi nikt nie wystąpił i nad numerem 37. przeszło się do porządku dziennego.

Prosta historia znanej rzeczy.

A teraz co?

Giinnazyum porzuci, bo musi. Nie ma na dydaktrum, a zresztą traci wszystkie lekcye, przecież nikt nie da lekcyi repetentowi.

Trzeba rzec się ideałów, wymarzonych w młodzieńczej piersi, trzeba odwrócić się od światła i iść dalej w nędzne, szare życie...

Wpatrzył się w świecę, która się dopalała, a wysoki płomień jakies dziwne cienie malował na ścianach. Po wychudłych policzkach stoczyły się dwie łzy.

K. Ob.

Wyrwij mnie stąd.

„Wyrwij mnie stąd, z tej szarej życia monotonii,
Gdzie dusza nadaremnie z wysiłkiem rwie pęta
I chcąc lecieć w krainę, co z blasków poczęta,
Skrzydła krwawi znużone i w apatyi tonie

Rozpacznej, by się znowu rwać ku świetlnej stronie!
O zanieś mię w kraj jasny Ideału, Święta!
Co tam na szczytach stoisz zorzą osłonięta,
Tam, gdzie tęcz wstęgi grają w przecudnej harmonii!“

Tak wołam głosem tęsknym i pełnym rozpaczy.
A ona ku mnie lica świetlane promieniem
Zwraca i rzecze: „Tam się długim śladem znaczy

Droga ku mej krainie“. I białem ramieniem
Wskazuje mi szlak stromy, pnący się wciąż wyżej,
Drogę krwawiących cierni i męczeńskich krzyży.

L.

Geniusz młodości.

.....

I w bezdniach przestworu błysnął promień światła, niby pierwsza myśl do odgadnięcia nieograniczonej tajemnicy ciemności i czerpiąc siły z własnej świetlanej istoty wybujał złotą wstęgą... a przestwór zdumiony wyczytał w niej przedświt zwycięstwa!

I nieskończoność ciemności pobladła i zanikać poczęła sama w sobie — a oto wstęga złota wystrzeliła milionem promieni, a nieskończoność odpowiedziała harmonię barw..... Myśl jakaś świetlana, zlew barw, światła i życia zapełniła wszechświat!

Któż ją zrozumie? Kto dosłucha się odpowiedzi w tej ciszy, w tej najdoskonalszej harmonii myśli i uczuć, w tym hymnie nieogarnionym, wspaniałym przez swoje milczenie?.. I wśród tej myśli weszło słońce piękne, potężne, natchnione, a myśl owa zaróżowiła się siłą, natchnieniem..

Ktoś ty, myśli, pełna tajemnicy i niepojętego początku? Ktoś ty, co w pierwszych dniach istnienia żyjesz wyłoniona z barw i światła? Któż cię zrozumie, jeżeli z ziemi ziemskich nie weźmiesz pierwiastków? Tyś z barw wszechświata, tyś z promieni, siły i natchnienia słońca, lecz jakże cię uchwycić, jakże zrozumieć, ty, która żyjesz swą wielkością i pięknnością?... A oto wśród przestworza obudziła się ziemia w ożywczem tchnieniu słońca i uśmiechnęła się zielenią swej wiosny i błękitem wód i z hymnem porannym sfer wszechświata w jeden akord się zlały pienia ptasząt i poważny szmer drzew, a z barwnych kielichów kwiecia niewidzialną strugą unosiła się pieśń woni...

I był to dźwięk jeden i z promieniami słońca płynął ku górze, w dal, w nieskończoność...

I dziwny zachwyt ogarnął świat cały, jakieś niewysłowione przeczucie przemknęło przez kręgi światłości, przestwór cały odczuł myśl ową, drzemiacą w tajni swego wątku...

Uśmiechowi wiosennej ziemi odpowiedział świetlany uśmiech lazuru, fale pełnego, natchnionego życia tętnić poczęły w wszechświecie... Czar dziwny, niepojęty urok zawisł w bezmiarach błękitu... Myśli która unosisz się wśród fal światłości, wśród poranka światów, ktoś ty, wielka, piękna, potężna? Czyliż powstała w nieskończoności przestrzeni drzemać będziesz w nieskończoność czasu niepojęta, nieziszczona?

...A oto pieśń światów zamilkła, niby w formę bytu zakłętą gra barw porannych zakrzepła na niebie, promienie światła uwiły w połowie swej drogi, a uśmiech ziemi spoważniał uwielbieniem... świat cały stał się jako jeden wielki, wspaniały wyraz uwielbienia i hołdu...

Bo oto głos jakiś rozbrzmiał się w bezdniach przestrzeni:

Myśli moja, poczęta z promieni światła, siły i natchnienia wśród wielkości i zachwytu, wypieszczona pieśnią sfer i grą barw nadziemskich, dla ziemi wytchnąłem ciębie, węź, co ziemia pięknego wydała, bądź z wyższych sfer i czaru ziemi!...

A świat cały słuchał zdziwiony i patrzył na myśl ową w otchłaniach błękitu...

A oto odezwała się znowu pieśń ziemi, lecz już ze strony ogniska wieczności, i pieśń ptaszków i poważny szmer drzew i woń kwiatów i całe natchnienie, cały czar ziemi, uświęcony w sferach aniołów, zlał się z tą myślą..

I z uwielbieniem świat cały patrzył i czekał...

Oto znowu dał się słyszeć głos potężny, odwieczny, twórczy i rozbrzmiały się słowa:

Myśli moja, stań się!

I w tchnieniu Stwórcy, przywitany zachwytem niemym, hołdem uwielbienia światów wyłonił się geniusz młodości i zawisł nad ziemią wspaniały, natchniony, potężny...

I w duszy jego gorzało światło i zapał nadziemski, myśl jego była jako gra barw porannych, czysta, wzniosła i niby żar słońca tłała w piersi jego iskra potęgi, a z ust jego wionął cały urok ziemi...

I wybuchał życiem pełnem, jasnem, natchnionem...

I zawołał świat cały: Witaj nam, witaj!

A ów syn światła, piękna i mocy zawisł nad ziemią i duchem sfer wyższych tchnął na nią, a w jego tchnieniu stała się stokroć piękniejszą...

I pełnym odezwała się akordem: Witaj mi, witaj!...

P. S.



Dwa odczyty Ruskina.

Leży przed nami książka sławnego angielskiego pisarza zawierająca dwa odczyty dla młodzieży: „Sesame and lilies“,

W pierwszym autor opisuje pożytek z czytania dobrych książek, porównyując go z owym skarbem bajecznym, na hasło „Sezam“ się otwierającym. Drugi odczyt traktuje o kobietach.

Na wstępie przestrzega on czytelników, że podstawą jego książki jest przekonanie: iż istnieje absolutne dobro i absolutne zło w książkach, w sztuce i w charakterze, że to absolutne dobro i zło nie zależy od epok, mody, opinii i rewolucji. Powiada dalej, że od czasu wygłoszenia tych odczytów weszły w modę „niejedne nowe metody wychowania i nowe metody moralności, — gimnazya dla kobiet i wychowanie bez gimnazyów dla chłopców, — pozytywizm z jego religią ludzkości i negatywizm z jego religią chaosu. Z zamieszania tego młodzież, nawet gdyby chciała, wyswobodzić się nie może, wśród nawału realistycznej lub materialistycznej literatury i sztuki, mającej podstawę głównie w teorii, że nikt nie ma wolnej woli i nikt nie potrzebuje pana lub nauczyciela. Wiele z tego jest rozumne, niezmiernie zabawne a nawet porywająco patetyczne, a jednak jest to tylko pusty szmer i tuman kurzu, poruszony przez wiek, reformujący rozwiąże i budujący trywialnie. Wiek ten, gdy jego rozwiążłość będzie uspokojona a jego budowy oczyszczone, musi w swoim czasie powrócić do zrozumienia rzeczy, które były, są i będą zawsze, choć w danej chwili nie zajmuje się poważnie niczem, oprócz obiadem i łóżkiem“.

Dlatego autor ostrzega, że „książka jego należy zupełnie do starej szkoły, że ignoruje, bez skrupułu lub żalu, cały ferment obecnych żywiołów i przyjmuje za wieczno-trwałe niejedu staroświeckie zapatrywania i istnienia, które dzisiejsza filozofia uważa za wygasłe razem z mamutami.“

Przyjmuje zatem trwanie „królewkości i idącej z nią w parze dworskości czyli grzeczności, a zarazem niegrzeczności i brutalstwa. Przyjmuje z wyobrażeniem wyższych i niższych stanów, myśl spokojnej władzy i nie szmerzącego podporządkowanie się; przyjmuje bogactwo i ubóstwo, bez kłótni o ich prawa, przyjmuje istnienie cnoty i występku bez wątpliwości co do ich istoty“.

W. S.



Sen.

(Urywek z kroniki Kurjera Codziennego)

Sniło mi się, że jestem w piwnicy, razem z wielką gromadą innych ludzi, chorych przestraszonych, wynędzniałych i głęboko zdemoralizowanych, którzy, tęskniąc do dziennego światła, na oślep biegali po pieczarze, rozbijali się o ściany kaleczyli i deptali jedni drugich.

Wtedy niektórzy z pośród nich, aby choć cokolwiek rozprószyć ciemności, z własnych koszul robili knoty i zawijali je w skąpe porcey słoniny. Tym sposobem rozniecali trochę światła, przy którym wprawdzie nie można było wyprawiać balów, lecz można było łbów nie rozbijać.

Ale teraz zdarzyła się rzecz nieprawdopodobna. Oto niektórzy z uczestników ciemności rzucili się na nędzne kagauki, starając się zagasić nawet tę odrobinę światła.

— Co wy robicie? — pytano.

— My chcemy porządnego światła: elektryczności albo przynajmniej latarń gazowych. A kto poprzestaje na kaganku ze starych szmat i zjełczałego tłuszczu ten jest warjat, albo nieprzyjaciel rodu ludzkiego.

Taki był mój sen. Najprzykrzejszą jego stronę stanowiło to, że, o ile pamiętam pogasły mizerne kagauki i znowu zamiast lamp elektrycznych, zapanowała ciemność.

Bolesław Prus.



o piśmie zdrowych i chorych.

Był czas, że się bardzo wiele u nas i za granicą zajmowano grafologią, t. j. nauką, któraby dawała możność pewnego systematycznego wnioskowania z charakteru pisma o wadach i zaletach piszącego. Potworzono osobne działy w pismach periodycznych poświęcone grafologii, a prenumerator ze nadesłaniem próbki swego pisma, otrzymywał w następnym numerze odpowiedź określającą „bardzo dokładnie“, zdaniem grafologów.

jego charakter. — Było to po prostu dziennikarskie wyzyskanie choroby ogółu, chciwego łatwego odsłonięcia wielkich tajemnic.

Prócz pism peryodycznych propagowały grafologię wystające jak grzyby po deszczu broszury różnej objętości, które podawały wzory pism i klucze potrzebne do rozwiązania zagadki. Podpisy sławnych ludzi w różnych epokach ich życia w chwilach powodzenia i upadku, jakoteż obłąkanych, zaczerpnięte z domów zdrowia dla tych nieszczęśliwych, wyrzuconych straszną chorobą z myślącego społeczeństwa, wszystko to miało udowodniać racjonalność drogi wskazywanej przez grafologów.

Przypomnę tylko tak bardzo rozpowszechnioną grafologię Czyńskiego, szarlatana-magnetyzera, który nie dawno stawał przed kratkami sądowymi oskarżony o najrozmaitsze nadużycia popełnione przy sposobności spełniania swego zawodu grafologamagnetyzera. Książka jego, objętości dwóch czy trzech arkuszy, posiadała na końcu wzory pism, ułatwiające odczytywanie charakteru osób. Liczne „praktyczne“ uwagi autora, polegające na przypisywaniu różnych znaczeń haczykom powstającym przy pisaniu liter, sposobowi ich zaokrąglania i t. p. a wypowiedziane apodyktycznie i w formie tez, czyniły tę sztukę „odgadywania charakteru z pisma“ dostępną dla każdego.

Każdy więc bawił się tem, a zawsze zadowolony z otrzymanych wyników, stawał się gorącym apostołem nowej wiedzy.

Drugą, również bardzo popularną książkę o grafologii, chociaż nie tak jak pierwsza z powodu swej większej objętości i znacznie wyższej ceny, była publikacja pani Bielejowskiej z Warszawy. Publikacja ta w nieco poważniejszym trzymaniu od poprzedniej, również kładzie przeważny nacisk na praktyczny użytek książki w „odgadywaniu charakterów ludzkich“.

Wzory różnych pism, również miały ułatwić „odczytywanie“ pisma. Podaje tam autorka znane podpisy Napoleona, pochodzące z różnych epok jego życia. — Pnący się ku górze podpis z czasów, gdy ten bóg wojny wkładał cesarską koronę na skronie, ustąpił miejsce podpisowi, w którym litery gwałtownie się obniżają, pochodzącemu z czasów wielkiego pogromu z r. 1812.

Prócz tego rozważa autorka kształt poszczególnych liter ze względu na ich większe lub mniejsze wykończenie.

Z tem wszystkim posiada książka wszelkie pozory dzieła naukowego, wywołaną jednak została ogólną gorączką grafologii.

Nie można jednakowoż powiedzieć, ażeby wyszukiwanie zależności pomiędzy pismem, a najogólniejszym charakterem piszącego było pozbawione wszelkiej racyi. — Należy jednakowoż badania prowadzić bardzo ostrożnie drogą żmudnych prac laboratoryjnych, ażeby dojść do jakiegoś pozytywnego wyniku. Jak różne będą jednak otrzymane wyniki od tych, które chce widzieć publiczność żadna, odsłaniania wielkich tajemnic, wykażemy poniżej.

Ta grafologia przestaje już być środkiem prowadzącym do jakiego celu, ale sama staje się celem. Różną jest ona od reklam dziennikarskich i atrakcyjnych punktów różnych festynów, na których oblegane są zawsze kioski z napisem „grafolog“.

Tutaj piękna uczestniczka ogrodowej zabawy nie może wyjść z podziwu, gdy na zanieśioną próbkę pisma, której autorkę poznał któryś z „grafologów“ otrzyma za kilka chwil taką u. p. odpowiedź:

Pismo proste, ale za to
Trzymasz się garbato.

W ten sposób prowadzona grafologia, została należycie ocenioną przez tych, którzy się nią zajmowali, jako zabawka i źródło mniej lub więcej ciętych dowcipów.

Lecz dosyć już o tego rodzaju „nauce“, gdyż, jak powiedzieliśmy, grafologia prowadzona drogą żmudnych badań laboratoryjnych posiada zupełnie odmienną cechę od tej, którą się ogół zajmował dla rozrywki i ciekawości.

W ostatnich czasach pojawiła się obszerniejsza praca Adolfa Grossa, który zajmuje się grafologią ze stanowiska czysto naukowego. — Z obszernego materiału, jaki ten autor podaje, pozwolę sobie zestawić najogólniejsze wyniki badań, jak również omówię pokrótce metodę badania, dla wytworzenia u czytelników pojęcia, jak wygląda ta okrzyczana nauka w psychologicznych laboratoryach.

Do swych badań używał autor „wagi pisarskiej“, przyrządu zbudowanego przez profesora psychiatrii w Heidelbergu Kraepelina.

Jest to nie wielki stolik z przyśrubowanym w jednym końcu silnym statywem, na którym u góry spoczywa silna, lecz bardzo czuła waga. Stąd nazwa przyrządu. Wzdłuż tej wagi układa się rękę piszącego, który ma zadanie pisać oznaczone litery i liczby z możliwie największą szybkością, przyczem na piękność liter i wogóle na kaligraficzność pisma nie zwracano zupełnie uwagi.

Odpowiednie urządzenie dźwigni dawało możność mierzenia w gramach siły ucisku ołówka przy pisaniu, jak i szybkości pruszania ręką za pomocą połączenia przyrządu z kimografionem.

Kimografion jest to przyrząd niezbędny w każdej biologicznej pracowni, a składa się z dwóch walców obracalnych za pomocą zegarowego mechanizmu z dowolną, lecz stałą chyżością.

Oba walce, ustawione pionowo znajdują się w nieznaczej od siebie odległości, mniej więcej dwóch decymetrów.

Na jednym z walców jest nawinięty papier tej szerokości co wysokość walca; papier ten przechodzi na drugi walec, który obracając się, zwija go. W ten sposób pionowo ustawiony pasek papieru, odpowiadający odległości walców przesuwa się z oznaczoną, lecz stałą chyżością. — Do papieru przylega piórko przyrządu piszącego, które oznacza linie odpowiednie rodzajowi badania.

Gross używał kimografu do oznaczenia szybkości pisma, a to w ten sposób, że odpowiednie urządzenie na wadze Kraepelina było w połączeniu z wyżej wspomnianem piórkiem przyrządu piszącego, a ten oznaczał na pasku papieru kimografu wielkość przesunięcia się pewnego punktu papieru w czasie potrzebnym do napisania litery lub pewnej jej części.

Stąd Gross oznaczał prędkość pisma w milimetrach.

Po powyższem zatem wytłómaczeniu będę również w ten sposób oznaczał chyżość pisma.

Badania swoje robił autor na obłąkanych, cierpiących na najrozmaitsze formy obłądu, a dla porównania na zupełnie zdrowych dozorcach i dozorczyńiach chorych. — Wybrał zaś autor do swoich pomiarów ten stan ludzi, gdyż z tego stanu rekrutują się przeważnie obłąkani, chciał więc usunąć różnice wynikające z różnego społecznego stanowiska badanych.

Badanie swoje prowadził na 5 różnych sposobów. I tak polecał:

1. Dwa 10 cm odległe od siebie punkty połączyć linią prostą; zadanie było powtarzane po sobie cztery razy.
2. Nakreślić pięć punktów, leżących w prostej linii.
3. Napisać niemiecką małą literę „m“.
4. Napisać liczby od 1 do 10.
5. Od 20 wstecz po 3 odejmować.

Przy badaniach indywiduów zdrowych okazały się najbardziej charakterystyczne spostrzeżenia dotyczące się ucisku przy pisaniu litery „m“. — Krzywa otrzymana na papierze kimografu, była dla każdej osoby znamioną.

Przy rozważaniu właściwości w poruszaniu rękę przy kreśleniu liczb i liter spostrzegł autor zjawiska wręcz przeciwne do tych, które istniały przy wykreślanii linii łączącej dwa punkty.

Przy pisaniu liczb i liter nie było pod względem chyżości w ruchach ręki wielkich różnic indywidualnych. Linie natomiast były kreślone znacznie szybciej. Podczas gdy przeciętny czas potrzebny do wykreślenia linii wynosił 9 σ (przez grecką literę σ będziemy oznaczać jednostkę czasową w pomiarach chyżości pisma) przy pisaniu liczb lub liter chyżość wahała się między 26 do 38. To znaczy, że przy pisaniu liczb lub liter przesuwiał się uważany punkt papieru na kimografie o 26 do 38 mm., gdy podczas kreślenia linii tylko o 9 mm. — Chyżość więc pierwsza była znacznie mniejszą od drugiej.

Różnice indywidualne u mężczyzn są większe, aniżeli u kobiet.

W zestawieniu chyżość pisma w odniesieniu do 1 mm przedstawia się następująco:

	mężczyźni	kobiety
Przy kreśleniu linii . . .	9	9
Przy pisaniu litery „m“ . . .	26,8	37,3
Przy pisaniu liczby „1“ . . .	31,9	3,8

Pod względem czasu trwania pisma, to doszedł Gross do następujących wyników;

	mężcz. kob.		mężcz. kob.	
Chyżość w σ	Dla litery „m“		Dla liczby „1“	
Przeciętnie . . .	800	800	249	280
Maximum . . .	900	1100	325	342
Minimum . . .	700	600	158	200

Ucisk używany w piśmie jest również bardzo ważny, a to z tego powodu, że zachodzą wielkie w nim zboczenia przy rozmaitych formach chorób nerwowych i umysłowych. U ludzi zupełnie zdrowych przedstawia się następująco:

I tak :	mężcz.	kob.	mężcz.	kob.	mężcz.	kob.
Ucisk w g. Przy kreśl. linii przypis. „m“ przy pis. „1“						
Przeciwny . .	219	191,4	330	182	346	273
Maximum . .	335	305	530	330	545	333
Minimum . .	102,5	112,5	200	100	165	127

Tak się przedstawiają wyniki badań w najogólniejszych zarysach u ludzi zdrowych, zupełnie dysponowanych w dniu badania.

Przeglądając zestawienia wyników u chorych umysłowo na najrozmaitsze ostre lub łagodne formy obłądu, przekonujemy się, że istnieją wielkie zasadnicze różnice.

I tak n. p. chorzy na formę obłądu zwaną „stupor“ (obłąd osłupny) wykazują przedewszystkiem znaczne zmniejszenie się chyżości pisma, tak iż przy pisaniu litery „m“ waha się chyżość pisma w granicach od 1200 do 3500 i staje się mniejszą w miarę wzmaganiania się choroby.

Ucisk ołówka jest nieznaczny, linie są niedociągnięte, a litery pozbawione cieniowania. — Litery w miarę pisania stają się coraz mniejsze.

U „mniotków“ natomiast z reguły można spostrzec zwiększenie się chyżości pisma. Pismo jest wogóle zawsze niewykończone, a chory nie trzyma się bynajmniej tem, ażeby dociągać kreski. W tem ma wspólną cechę z chorymi na poprzednio omówioną formę obłądu. — Cieniowanie liter istnieje, nie jest ono jednakowoż nigdy dokładne, lecz bardzo nagłe cienie przechodzą szybko w bardzo delikatne linie. Pismo ma więc charakter brzuszkowaty.

Wogóle w rozróżnianiu jakości pisma najbardziej rażące różnice znajduje się w jego chyżości i w ucisku pióra lub ołówka. — Inne cechy występują w formie mniej widocznej.

Lecz nie potrzeba się uciekać aż do umysłowo chorych, bo już osobniki różnej siły nerwowej wykazują charakterystyczne zmiany. — Neurastenicy pod względem siły ucisku pióra lub ołówka przy pisaniu znacznie się różnią od nerwowo zdrowych, a w chwilach neurastenicznych ataków prawie niemożliwe jest

u nich pisać cośkolwiek z powodu zbyt silnego uciskania pióra o papier.

Niezmiernie charakterystyczne jest pismo chorych na postępowy paraliż mózgu (paralysis progresiva).

Litery są pisane niepewnie, jakby chory ustawicznie się namyślał jak ma napisać następną literę. Brak jest też prawie zupełnie cieniowania liter.

Nie będę już przytaczał różnic pisma przy najrozmaitszych formach obłądu, gdyż nie jest to moim celem i przekroczyłbym ramy niniejszego artykułu, chciałem tylko zwrócić uwagę o ile uzasadnionem jest twierdzenie, że jakość pisma daje możność wnioskowania o wadach lub zaletach piszącego.

Nie należy więc bezwzględnie i bezkrytycznie brać tezy praktycznych grafologów, gdyż te nie mają naukowej podstawy; prace laboratoryjne może rzucić kiedyś jaśniejsze światło na tę sprawę, lecz dotychczas mamy bardzo niewiele materiału z tego przedmiotu, tak iż na postanowienie ogólnych praw jest jeszcze za wcześnie.

B.



K r o n i k a .

Z zaboru rosyjskiego. — Z zaboru pruskiego. — Z wychodztwa polskiego w Stanach Zjednoczonych. — Mowa p. Spasowicza. —

Ze Ślązka. — Prasa warszawska o Szczepanowskim.

Cały szereg smutnych wiadomości z Warszawy, tego miasta, na które zwrócone są oczy całej Polski, poruszył w ostatnich czasach opinię publiczną. I naprzód przyszła wieść o ogólnej manifestacji studentów wyższych zakładów rosyjskich, o agitacjach w Warszawie w celu przyłączenia się studentów Polaków do tego strejku. Pokolenie starsze, jakgdyby nic go nie łączyło z młodszem, nie zważało wcale na ten ruch wśród studentów, nikt nie pospieszył z wskazówkami i radą. I wkrótce doszła wiadomość o rozruchach studenckich w Warszawie. A niedługo za nią inna jeszcze straszniejsza o wydaleniu 194 słuchaczy uniwersytetu, 130 z po-

litechniki i 40 z instytutu weterynaryjnego i o zawieszeniu wykładów.

I wtedy dopiero, gdy było za późno, cała prasa warszawska potępiła jednomyślnie rozruchy. Komitet stronnictwa demokratyczno-narodowego wydał odezwę, w której nazwał strejk studentów, aktem sojuszu z Moskalami.

„Kto zawierając podobne sojusze, opóźnia dobę zmartwychpowstania i niszczy z sekciarską zajądłością długoletnią pracę rodaków, od tego odwracamy się ze zgrozą.

Kto... chce stanowić w naszym obozie jakąś odrębną, wiecznie do zbiegostwa z pod chorągwi gotową ruchawkę pospolitaków, kto lada podmuchowi z nad Newy daje się porwać jak lekka plewa, żeby potem jako obywatel kraju, uleczony z mrzonek radykalnych, krzyknąć „ura!“ carowi i płaszczyć się przed byle zbirzem — temu wręcz, szorstko, po męsku, mówimy: „precz z naszych szeregów“.

Wszystko to bardzo piękne, i niewątpliwie młodzież warszawska popełniła błąd wielki że dała się porwać kilku kosmopolitycznym wicherzycielom i sprzymierzonym z nimi Moskałom, że z jasnej, otwartej drogi pracy nad odzyskaniem niepodległości wkroczyła na ścieżki i manowce, że zrobiła krok bezcelowy, narażający losy jednestek i naukowych instytucji na niebezpieczną próbę, zaś kraj cały na dotkliwe następstwa i straty, że w tem wszystkim nie przewodniczyła jej jedna nasza narodowa Idea, ale jakieś inne cele i hasła — ale cóż powiedzieć o społeczeństwie, które dopiero z gazet dowiaduje się o całym tym ruchu wśród młodzieży, o prasie, która dopiero *po wszystkim* wynajduje słowa oburzenia i potępienia. Czyż to społeczeństwo, ta prasa zapomniała, o tem że kto ma w swem ręku ducha młodzieży, kto jej myślami kieruje i rządzi ma w ręku przyszłość narodu. Co pomogą najpiękniejsze hasła, jeżeli to będą hasła starego, wymierającego pokolenia, jeżeli młodzież inne będzie miała cele i ideały. Tu jest najsmutniejsza strona tej sprawy.

Rozruchy studenckie w Warszawie dały dowód braku łączności między pokoleniem starszem i młodszem, dały dowód braku karności w narodzie, braku przejęcia się wszystkich jedną narodową Idea. Jest w tem wiele winy młodzieży, ale daleko więcej starszego pokolenia, które z dziwną obojętnością zachowuje się względem tych młodych, zapominając zupełnie, że w nich leży *przyszłość*.

Na pierwszą wiadomość o brutalnem czynie despotyzmu moskiewskiego uchwalił Wydział Czytelni akademickiej, jako towarzystwa reprezentującego ogół młodzieży akademickiej lwowskiej, wyrazić swoje najżywsze współczucie dla nieszczęśliwych kolegów warszawskich, zwrócić się do ogółu z odezwą o składki i postarać się o zawiązanie komitetu, któryby się zajął losem kolegów, przybyłych do Galicyi. Dnia 24. marca odbyło się w Czytelni zebranie przewodniczących wszystkich towarzystw akademickich, na którem odpowiednią odezwą uchwalono. Składki płyną obficie. Sądzimy że cała młodzież galicyjska weźmie w nich udział.

* * *

W zaborze pruskim toczy się dalej rozpaczliwa walka o prawo uczenia prywatnie języka polskiego. W Poznaniu odbyły się w tej sprawie dnia 19. marca dwa zgromadzenia: „wiec ojców“ i „wiec matek“. — Już dawno nie było zebrania, któreby taki powszechny entuzjazm wzbudziło. Bo też sprawa ważna i doniosła. Od r. 1887 nie mogą dzieci otrzymywać nauki szkolnej w języku polskim; od 1894 nawet za osobną opłatą rodziców nie wolno w murach szkolnych udzielać choćby prywatnych lekcji języka polskiego. Mimo to język polski nie ginie, zapal dla Sprawy narodowej nie ustaje. Najlepszym dowodem tego ostatnie zgromadzenie, na którem z uniesieniem przyjęto słowa: „Żadne zakazy i kary nie zdołają nas odstraszyć i osłabić naszego ducha. Bronić będziemy praw naszych wszelkimi przysługującymi nam środkami. Żadne środki nie sprowadzą nas z obranej drogi. W górę serca, a Pan Bóg szlachetnej sprawie dopomoże“.

* * *

Przez członków Związku Narod. Polskiego, jako też przez członków innych organizacyj polskich ułożony został projekt „Memoryału“, któryby został wręczony rządowi Stanów Zjednoczonych przez Polaków, obywateli amerykańskich, celem poruszenia sprawy polskiej na proponowanym przez cara międzynarodowym kongresie rozbrojenia. Składa się on z 2. części: jedna zawiera opinię Puffendorfa o pokoju powszechnym oraz opinie J. Mackintosch'a, Webstera i innych o rozbiórce Polski; część drugą rozpoczyna list Aleksandra I. z d. 30. kwietnia 1815 r. z Wiednia do prezydenta senatu polskiego, oznajmujący mu o utworzeniu królestwa kongresowego,

kończy wskazaniem, iż dowodem szczerości carskiej we względzie pokojowym może być nie co innego, jeno zastosowanie się ściśle do warunków pokoju wiedeńskiego w roku 1815.

* * *

Staraniem Włodzimierza Spasowicza urządzono w Petersburgu wieczór Mickiewiczowski pod firmą związku pisarzy rojyjskich. Tłem obchodu nie była cześć dla Mickiewicza; wieczór miał przynieść korzyści inne, bardziej realne, miał być środkiem pojednania Moskali, pogodzenia ich z twórcą „Konrada Wallenroda“, a przez to spodziewano się uczynić jeden krok naprzód na drodze ugody polsko-rosyjskiej. I już nie oburzenie, ale uczucie ogromnie bolesne, uczucie smutku i przygnębienie wywołują słowa, któremi zagaił uroczystość Spasowicz. Zanim złoży swą strudzoną głowę na odpoczynek, którego mu nie przerwie, ni wrzawa wałk politycznych ni budzący się głos zwątpienia w własne zasługi około sprawy ojczyznej — chciał raz jeszcze dać folgę ulubionej myśli trwałego zespolenia przyszłości narodu polskiego z losami jego pana i kata.

Więc w imię polityki twardej rzeczywistości otwarcie ogłosił, że naród jego wyczerpał już wszystkie środki „do zachowania i wskrzeszenia swego bytu politycznego, jeżeli nie własnymi siłami, to choćby z pomocą obcą“.

„Teraz sprawa ta jest już ostatecznie przegrana i złożona do archiwum, jest wykreślona ze spisu kwestyi międzynarodowych. Teraz jest to kwestya jedynie polityki wewnętrznej „rodzinny spór wzajemny „Słowian“ jak się wyraził Puszczyński“.

Czytając te słowa żal gorzki ogarnia, że nie ma dziś wieszacza, któryby palące słowa rzucił na głowę zaprzkańców Sprawy narodowej, na tych, do których wołał Krasiński:

„Nie znam na was hańby słowa!
Nie że język mój ubogi
Lecz, że boską ludzi a mowa!
Nadto piękna — czysta — święta,
Bo z anielskich krain wzięta,
By was nazwać po imieniu“.

Więc to, że naród polski zrozumiał, iż osiągnięcie niepodległości nie może być dziełem jednorazowego zapalu, wynikiem jednej chwili ale skutkiem odrodzenia całości, skutkiem zespolenia całego

narodu bez różnicy warstw i klas w jednym celu, skutkiem pracy szarej mozolnej monotonnej, rozłożonej na dni, miesiące, lata; to nazywają dziś „pogrzebaniem marzeń o niepodległości!”

I sądzą, że gdy naród został rozszarpany na trzy części, został rozerwany i duch jego, że w ukryciu serc polskich nie mieszka wspólna idea „z dniem każdym, z każdą chwilką rosnąca w tej mogile“.

I sądzą że „kwestya polska“ to znaczy kwestya „polsko-austryacka“, „polsko-pruska, „polsko-moskiewska“ i z chwilą uregulowania stosunków z każdym z tych mocarstw ona zniknie.

Zaiste źle być musi ze wszystkimi ugodowymi politykami jeżeli muszą sobie sztucznie zamykać oczy na dążenie całego narodu, jeżeli innych argumentów nie umieją wytoczyć jak negacyę faktów swą prawdziwością bijących w oczy.

* * *

P. Bronisław Koraszewski, redaktor *Gazety opolskiej* został wypuszczony na wolność po 8. miesiącach więzienia d. 8. b. m. U bram więzienia oczekiwało kilkaset osób i z każdą chwilą tłum rósł ku zdumieniu i obawie wyglądających przez okna Niemców. Uwolnionego redaktora powitał tłum okrzykiem „Niech żyje!“ — Tegoż dnia odbyła się wieczornica ludowa. Ogromna sala, w której może się pomieścić z górą 200 osób okazała się za szczupłą. Panu Koraszewskiemu wręczono między innymi zegarek z herbami Polski, Litwy i Rusi. Pan Wł. Raszewski, zastępca redaktora, ułożył na cześć tego szermierza narodowego następujący wiersz, z którego 2 strofy podajemy:

Jeszcze nasza wiara słyńie,
Póki Szlązak żyje
Prędzej woda w Odrze zginie,
Nim nas Prusak zabije.

Hej Szlązacy, hej rodacy
Nie traćmy otuchy,
Słynni przecież są Polacy
Jako dzielne zuchy.

Pan Koraszewski wzruszony dziękował za te dowody miłości i przyrzekał ludowi „miłość za miłość, wierność za wierność, po-

święcenie za poświęcenie, a wszystko dla wspólnej nam, drogiej sprawy ojczystej“.

* * *

Sprawa p. Szczepanowskiego tak żywo interesująca nasze społeczeństwo odbiła się również echem w prasie warszawskiej. Lecz jak różne zajęła ona w swych sądach stanowisko od prasy galicyjskiej. „Tu“ — jak słusznie zauważył „Kuryer codzienny“ — „szlachetna wiara w uczciwość zamiarów, współczucie dla nieszczęśliwego człowieka, tam (prasa galicyjska) — dzika źle ukrywana radość płynąca z poziomej, stronniczej nienawiści, stek wymysłów i oszczerstw rzucanych na osobistość o całe nieba działalnością charakteru wyższą od swych przeciwników!“

Nawet w „Kraju“, (wychodzącym w Petersburgu) organie przeciwnym zasadniczo wszelkim ideom, głoszonym przez Szczepanowskiego znajdujemy bezstronną ocenę jego zasług. Korespondencya ze Lwowa („Kraj“ nr. 7.) donosi że „chwycono się tak namiętnego sądenia i bezwzględnego rzucania się na honor i sławę tej miary co Szczepanowski człowieka, że dla każdego bezstronnego czytelnika oburzającym to wprost było. Jest to tem smutniejszy objaw, że ofiarą podobnych namiętności padł niezapreczenie wybitny człowiek, w interesach może fantasta, ale siła dla kraju cenna, człowiek energiczny i rzutki, znakomity mowca i publicysta, którego i w tym wypadku o złą wolę nikt posądzać nie ma prawa, a którego powszechnie szanowano i za jednego z najzdadniejszych i najwytrwalszych pracowników w kraju niezapreczenie uważano“.

Najbezstronniejszy sąd w tej sprawie podaje Sep w gawędce „Z Warszawy“ w „Biesiadzie literackiej“. Ułatwiła mu tu zadanie osobista znajomość Szczepanowskiego, naoczne przekonanie się o tem, co Szczepanowski zrobił na polu przemysłu naftowego. „Do dziś dnia“ — pisze on — „przechowują szacunek dla człowieka dzielnego, który chciał poruszyć swój kraj z posad zardzewiałych; rzeczywiście ruszył go, ale nareszcie sił mu zabrakło, bo popełnił błąd Napoleoński: żądał od nich za wiele. Czy godzi się jednak za ten błąd potępiać człowieka jak najlepszej woli? ciągnąć go pod pręgierz jak złoczyńcę? obdzierać z zasługi obywatelskiej obywatela, nie dbającego o swoje wygody, gardzącego marnotrawcami i zbytnikami, nie używającego dla swych celów przedajności, tak uprawnionych zwyczajem w przemyśle, nie wdającego się w spółki

żydowskie, pomimo tego, że nie kierował się nieuawiaścią rasową, a pracowitość i energię żydowską stawiał nam za przykład?...

Jeśli takiemu człowiekowi niepodobna dowieść, że brał miliony z Kasy oszczędności „na oślep bez przekonania, że wybrnie z interesów i zażegna wiszące nad nim bankructwo“ — to niegodziwością byłoby posądzać że bankrutował świadomie, że umyślnie przysporzył Galicyi nędzy, nad którą w książce tak rzewnie płał; niegodziwością byłoby odwracać się od człowieka, który złamany moralnie, pozbawiony środków do ratowania zagrożonej pozycji usunął się z widoku i czeka, nie obwiniając nikogo, na wyrok sprawiedliwy“.

Artykuł „Biesiady literackiej“ został powitany z rzadką jednomyślnością przez całą prasę warszawską. „Kuryer codzienny“ (nr. 67) poświęcił mu wstępny artykuł p. t. „Ucziwe zdanie“: „Gdy przed kilkunastu laty nazwisko Stanisława Szczepanowskiego zajaśniało na szerszym widnokregu galicyjskich spraw społecznych, gdy dzieło jego „Nędza Galicyi“ wskazało środki do wydzwignięcia się z rozpaczliwego położenia drogą większej ufności w siły własne — powitaliśmy z radością ukazanie się tej postaci dzielnego pioniera na polu leżącym dotąd odlegoim.“

Z wysokiem zajęciem obserwowaliśmy następnie coraz bardziej rozszerzający się krąg działalności tego energicznego i wysoce uzdolnionego człowieka, wprowadzającego do życia przemysłowo-handlowego Galicyi nowe żywioły, którym bodźca do pracy dodawała nie tylko chęć zysku, lecz jeszcze inne podnioslejsze ideały.

Drobne małości życiowe nam patrzącym zdaleka na robotę Szczepanowskiego, znikły z oczu. Widzieliśmy ogrom tego przewrotu, jaki dzielna inicjatywa wywołać zamierzała; widzieliśmy tyle dobrej woli, energii w tem co czynił, że nie wykluczając z rachunku możliwości błędów nieodłącznych od natury ludzkiej, wierzyliśmy głęboko w ucziwość pobudek działalności tego człowieka.

Tego przeświadczenia nie straciliśmy po wybuchu znanej sprawy lwowskiej Kasy oszczędności. Błąd to był niewątpliwy; przecenienie sił własnych, ale nie było — złej woli“.

Tyle prasa warszawska, na której wszystkie artykuły w tej sprawie można rozszerzyć ten tytuł artykułu „Kuryera codziennego“ — „Ucziwe zdanie“.



Ze spraw szkolnych.

Przed kilku dniami rozeszła się po dziennikach wiadomość, jakoby delegat namiestnictwa p. Laskowski wydał do dyrekcji szkół średnich w Krakowie rozporządzenie, grożące uczniom palącym cygara na ulicach interwencją organów policyjnych. „*Głos Narodu*” został nawet skonfiskowany za uwagi o tej sprawie. — Tymczasem urzędowa „*Gazeta lwowska*” prostuje tę wiadomość i twierdzi, że wydawanie takich reskryptów nie leży w kompetencji delegata namiestnictwa. Sprawą tą zajęły się uprawnione do tego sfery. Również w Sejmie wniesiono odpowiednią interpelację do komisarza rządowego.

* *

Trzeci zeszyt historii nowożytnej Zakrzewskiego miał wyjść około Wielkanocy 1897 r. A tymczasem już rok 1898 upłynął i 1899 się zaczął, a o trzecim zeszycie ani słychać. Uczniowie ponoszą podwójną stratę; najpierw zapłacili za wszystkie trzy zeszyty, a otrzymali tylko dwa, a powtóre muszą sobie kupić historię nowożytną innego autora, co także wymaga kosztów.

* * *

Do „*Kuryera lwowskiego*” piszą z Tarnowa. „Bezwzględny prąd policyjny, jaki zapanował w innych szkołach średnich, zawitał też i do nas. Oto d. 9 marca 1899 r. dyrekcja gimnazjum w Tarnowie odczytała uczniom zawiadomienie, „iż wys. Rada szk. krajowa, rozporządzeniem z d. 28 lutego 1899 l. 4787. wykluczyła za wybryki uliczne kilku uczniów z tutejszego gimnazjum i poleciła dyrekcjom szkoły realnej i seminarjum nauczycielskiego w Tarnowie, aby ich nie przyjęto do swoich zakładów i t. d.” Konstatując fakt, że wykluczenie spowodowała utarczka na ulicy podobna do tych, jakie powtarzają się w najniższych klasach na każdej przerwie, wysnuwa w dalszym ciągu autor korespondencji następujące wnioski. „Władza szkolna zamiast cicho ukarać wśród swych murów tę swawolę, jako nieprzyzwoitość towarzyską, odnosi się z tym drobiazgiem do Rady szkolnej, a ta podnosząc tę bitkę do wysokości jakiejś kwesji socjalno-politycznej, proklamuje wyrok, skazujący kilku uczniów na wykolejenie i kuje ten materiał na przyszłe szumowiny społeczne, zaś w rodzin kilka, wprowadza zamieszanie moralne i materyalne, bo zważmy, że niejedni rodzice, mieszkający w Tar-

nowie, nie są możliwości utrzymać dziecka po za domem w innym mieście, że niejedna matka, mająca kilkoro dzieci do kształcenia, ze szkodą gospodarstwa i wygod ojca, zamieszkała w Tarnowie. Co oni dziś mają począć?

* * *

Na posiedzeniu z d. 27 marca b. r. przyjął Sejm następujące wnioski komisji szkolnej.

1). Sejm przyjmuje do wiadomości sprawozdanie Rady szkolnej krajowej o stanie szkół średnich w r. 1897|8.

2). Sejm wzywa rząd, do przekształcenia na gimnazya samostne już istniejących zakładów filialnych we Lwowie i w Krakowie.

3). *Sejm wzywa ponownie rząd, żeby naukę historyi kraju rodzinnego uczynił obowiązkową w gimnazyach.*)

4). Sejm wzywa rząd, ażeby ustanowił lekarzy szkolnych przy gimnazyach.



Na rełegowanych studentów uniwersytetu Warszawskiego.

Złożono w Redakcyi naszego czasopisma :

Wp. K. Wieczyńska 10 złr.

Wp. Anna Lewicka 5 „

Wp. Jadwiga Lewicka 1 „

Wp. J. i M. Skałkowscy 5 „

Razem 21 złr.

Dowiadujemy się, że pomiędzy młodzieżą w przeciągu 2 dni po ogłoszeniu odezwy zjednoczonych stowarzyszeń akademickich zebrano około 100 złr. Składki odbywają się dalej.

*) Sprawę tę zamierzał Wydział Czytelni akademickiej r. z. poruszyć, naturalnie na daleko szerszą skalę, w drodze zbiorowej petycji młodzieży. Wskutek różnych przeszkód projekt ten nie został wówczas urzeczywistniony.
(Przyp. Red)



